



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

DWUNASTOLETNI KRÓL.

Dzieciństwo i władza są to dwie rzeczy trudne do pogodzenia. Dziecko przecież powinno słuchać nie rządzić, nie zna ono ani świata i jego stosunków ani ludzi, z kądże więc może piastować najwyższą władzę. Władza też ta fikcyjnie tylko znajduje się w ręku dziecka, rządzi za nie regencya, a dziecko nosi tytuł jedynie dopóki nie dorosnie pełnoletności.

Takich dziecięcych władców jest teraz dwóch w Europie, mały król hiszpański Alfons XIII, który obecnie zaczął zaledwie czwarty rok życia, i dużo starszy Aleksander król Serbii liczący dwanaście lat, którego uroczysta koronacya odbyła się obecnie w klasztorze Zissy w miejscu gdzie św. Sawa przed sześciu wiekami koronował króla serbskiego Stefana. Ten ostatni zasiadł na tronie mocarstwa, które przechodziło ciężkie bardzo koleje historyczne i przez parę wieków zostało pod panowaniem tureckiem.

Gdzie leży Serbia? Wiecie o tem zapewne, poszukajcie więc na mapie półwyspu bałkańskiego, tam znajdziecie piękny kawał górzystej ziemi. Na północy Dunaj odgranicza go od austriackiego banatu, na południe pasma gór odłamek Bałkanów z których najważniejszym jest Schar-Dag oddzielają go od Turcyi, wiekowój nieprzyjaciółki. Z zachodu sąsiaduje z Rosją, od wschodu z Bułgarią i Rumunią. Ziemię tę przerzyna Morawa a dwa jej ramiona łączą się pod Kruszewaczem by jako wspianiała już rzeka dążyć ku Dunajowi.

Niedaleko od Kruszewaczu znajduje się rozległa, urodzajna dolina zwana Kosowem polem, nazwę tę jak twierdzą

Dwunastoletni król.



dziejopisowie nadano jęj od mnóstwa kosów, które tam obrały sobie siedlisko. Na tem to polu przed pięciuset laty rozegrała się wielka dziejowa tragedia upadku Serbii, którą opisują niezliczone pieśni żałosne.

Dzisiejsza Serbia od połowy VI wieku wśród wędrówek i walk barbarzyńców dostała się pod panowanie bizantyńskie, w VII zajęta była przez Awarów a następnie Serbów, którzy jęj nazwę swoją nadali, przechodziła potem różne koleje, aż wreszcie Stefan Nemanic założył państwo serbskie w r. 1222. Państwo to doszło najwyższej potęgi pod panowaniem cara Stefana Duszana prawodawcy swego kraju, którego imię żyje w licznych pieśniach i legendach. Po nim jednak już państwo upadać zaczęło wewnętrzną niezgodą, a kiedy Turcy zapuścili swe zaborcze zagony po Cesarstwie wschodniem, Serbia straciła już swoją potęgę i nie mogła podolać wyznawcom proroka, którzy uderzyli nań na Kosowem polu.

Panował wówczas w Serbii Car Łazarz słynny z odwagi i pobożności swojej. On także jest bohaterem mnóstwa legend opiewających jego śmierć męczeńską w obronie wiary i kraju. Jedna z tych pieśni daje nawet do zrozumienia iż przed bitwą zjawił się Łazarzowi, prorok Elias i zapytał czy woli królestwo ziemskie a wtedy wszyscy Turcy wyginą, czy też królestwo niebieskie a wówczas dostąpi męczeńskiej śmierci, i Łazarz pogardził królestwem ziemskim, jako znikomem a wybrał niebieskie.

Oczywiście w tej pieśni widać chęć podniesienia bohatera, który nie uległ przemagającej sile a tylko z własnej woli został zwyciężony. Car Łazarz jednak tym sposobem cały kraj swój wydał na łup Turkom, gdyby to więc z własnej woli uczynił, nie zasłużyłby sobie na niebieskie królestwo.

Najpiękniejszą ze wszystkich pieśni serbskich jest „Bój pod Kosowem”. Nieznany poeta opisuje, jako kto żyw tylko śpieszy walczyć z nieprzyjacielem. Żona więc Łazarza Milica prosi go by w ten dzień straszny, kiedy walczyć będzie, zostawił chociaż jednego z jęj braci Iugowiczów—miała ich dziewiciu — Łazarz na to przyzwala; ale daremnie Milica zatrzymuje z kolei każdego z braci, żaden pozostać nie chce, a ostatni mówi do niej:

„Jeśli taki jest między Serbami
Coby doma dziś wolał pozostać,
Oby zaraz padł śmiercią haniebną,
Idę siostró chętnie na Kosowo
Za krzyż święty wylewać krew moją,
Idę umrzeć za wiarę z mą bracią.

Car Łazarz wzięty do niewoli został ścięty, poległo dziewiciu Iugowiczów i stary ich ojciec i Miłosz Obylicz zięć Łazarza, wprzód jednak zadali srogą klęskę Turkom, zabity został sam sułtan Amurat i dwaj jego synowie, legenda zaś twierdzi, że przegranę Serbów spowodowała zdrada, drugiego zięcia Łazarza, Wuka Brankowicza; a jakkolwiek historia nie wydała jeszcze ostatecznego wyroku w tej sprawie, nazwisko Brankowicza napiętnowaniem zostało hańbą zdrady na wiek wieków, przez ludowe pieśni.

Opis śmierci Łazarza daje Janczar Polak który zdaje się być jęj świadkiem w następujących słowach. „Przywiedli ks. Łazarza i wojewodę Dymitra przed Bajazeta cesarza nowego, gdy ojciec jego i dwaj bracia leżeli na marach. I rzekł cesarz Bajazet książęciu Łazarzowi. „Oto widzisz

na marach ojca i dwóch braci moich leżących. Jakoż się śmiał o to pokusić, a ojcu memu się sprzeciwiać?” Książę Łazarz nic przeciwko temu nie odpowiedział. I rzekł ku niemu Kraimir (wojewoda): „Książę miły, odpowiadaj cesarzowi, głowa nie jest jako wierzbowy pień, aby dwakroć rośła”. I rzekł ks. Łazarz cesarzowi: „Większy dziw jest, jako ojciec twój śmiał się o królestwo serbskie pokusić, a gdybym to miał czego oczyma nie widzę, musiałbyś i ty na marach leżeć, ale snadź to tak Pan Bóg zechciał. Niech się dzieje wola Boża”. Potem cesarz kazał książęciu głowę ścinać”. A uprosił Kraimir wojewoda cesarza, by mu pozwolił podłożyć szatę swą pod głowę księcia Łazarza, aby na ziemię nie upadła. A gdy głowa księcia na tę szatę upadła, wojewoda głowę swą ku niej pochyliwszy rzekł: „Przysięgłem dziś Panu Bogu, iż gdziekolwiek głowa ks. Łazarza tam też i moja leż ma”. A tak obiedwie głowy spadły.

Takich to bohaterów miał ten naród, i po wielu latach niewoli, na początku naszego wieku zaczął otrząsać się z jarzma niewiernych, naprzód pod wodzą Jerzego Czarnego a później Miłosza Obrenowicza. Jak wiek XIV widział upadek serbskiego państwa, tak wiek dziewiętnasty patrzy na stopniowy wzrost jego. Z razu było to tylko księstwo pod zwierzchnictwem Turków, którzy załogi swe mieli we wszystkich twierdzach, później używała Serbia coraz większej niepodległości, aż wreszcie od lat kilku podniesioną została do godności królestwa, które zostaje pod panowaniem rodziny Obrenowiczów, a potomkiem jęj jest małoletni król Aleksander.

Aureliusz.

UŚMIECHY ŻYCIA.

Z białej kolebki nadzieją swita
Dziecinny uśmiech wpół senny;
Potem — dziewczynka uśmiechem wita
Świat, tęczę złudzeń promienny.

Gdy trochę jaśniej spojrzysz po świecie,
Nie tak wesoło dziewczynie.
Gdy życie pozna — smutno kobiecie...
Uśmiech się we łzy rozpłynie.

Lecz zanim z dziecka w niewiastę wzrośnie,
Jeżeli przyszłość dzieciny
Pobłogosławi; jeśli miłośnie
Przeżegna uśmiech matczyny: —

To już najlepiej dziecię uzbroi!
Choć przyjdzie żywot niewieści,
Kobieta smutki wiarą ukoj;
Ani się złamie w boleści.

Uśmiech, co w życia witał ją progu,
Męztwem rozjaśni skroń młodą;
Przez całe życie wytrwa przy Bogu,
Strojna uśmiechu pogodą.

Bo póki matki uśmiechów tkliwych
Lśni w duszy obraz uroczy,
Odblask ich nawet śród chmur burzliwych,
Tęczę nad sercem roztoczy.

Teresa Prażmowska.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Jaś stał się odtąd ulubieńcem Krakowian, którzy zawdzięczając mu pogrom tatarski widzieli w nim zbawcę. Książę Leszek przyzwał go do siebie i obdarzył drogiem pierścieniem, chciał też wyrządzić mu sprawiedliwość i oddać mienie ojczyste, ale na to nie dość było moralnego przeświadczenia, należało mieć dowody tożsamości osoby Jasia, bo Zyndram zapierał się wszystkiego i niechciał oddać Żegnauca. Obie niewiasty wpadły wtedy na myśl, aby wezwać świadectwa królowej Kingi, która, nie wątpiły że je pozna, gdy przytoczą niektóre okoliczności z dawnych czasów, jęć tylko świadome.

Pod opieką zatem kasztelana Krystyna z Ostrowa gorliwego swego opiekuna, przeświadczonego o prawdzie tego co powiedziały, branki wyruszyły do odludnego zameczku górskiego, gdzie Kinga schroniła się, uchodząc z Sądca przed Tatarami. Oprócz kasztelana i kilku innych rycerzy wraz z poczetem zbrojnych, towarzyszyli im sędziowie, których obowiązkiem było rozsądzić sprawę. Po długiej podróży wśród skalnych lesistych bezdroży, uciążliwej dla chorych niewiast, stanęli wreszcie w tajemniczym schronieniu księżnej. U stóp jego szumiął Dunajec, czasem pędzony wazkiem wartkiem korytem, czasem rozlany w ciche, zdradzieckie jeziora, pod którymi wrzały skryte wiry.

Nad jednym z takich zwierciadeł, zamkniętem górami, ciemno-granatowem od ich cienia, wśród lasu iglic i maczug skalistych, wystrzelała opoka, niezwykle kształtna, jakby olbrzymia podstawa do posągu Świętej.

Wazki jęć wierzchołek ledwie wystarczał na objęcie warowni, której mury ścięte prostopadłe z górą, tworzyły jakoby dalszy ciąg żywej skały.

Mury te były bez okien, ślepe, mroczne, gdzieniedzie tylko mrugające ciemniejszymi kreskami strzelnic, rozsianych nierówno, jakby przyrodzone szczeliny w opoce.

Z po za ścian wyglądała jedyna wieża, także bezoczna, bezbarwna, gładka, niby jedna iglica więcej w tem najeżeniu ostrych szczytów.

Cały budynek wyglądał jakby niezamieszkały, martwy. Jednak z po za tych strzelnic, z owęć zwłaszcza głuchęć wieżycy, niejedno pewnie oko patrzyło podejrzliwie, i badało każdy ruch okolicznej krainy, która musiała ztamtąd być widna jak na dłoni.

Jan spostrzegłszy nadpowietrzne siedlisko, zawołał:

— A niechże ją Pan Bóg kocha, tę naszą nabożną księżnę, jakżeż ona już blisko nieba! Cóż my teraz biedaki zrobimy?

Rzeczywiście, trudności rosły. Do twierdzy prowadziła jedna tylko steczka, nakształt wielozwojnej śruby, okręcająca się w około góry.

Tu już wózka nie można było wciągać.

Jeszcze z Ludmiłą znalazła się rada; przywiązano ją do konia i prowadzono zwolna. Ale Elżbieta o schorzałych nogach, nie mogła w żaden sposób utrzymać się na koniu. Jan, niedługo myśląc, zeskoczył z Tatarczyka, dźwignął matusię na ramiona, i z tym drogiem ciężarem puścił się pod górę, wśród poklasku rozrzewnionych widzów.

Długo ich zatrzymano u bramy. Jednakże kiedy kasztelan wymienił swoją godność, kiedy wytłómaczył że chodzi o rozstrzygnięcie losu nieszczęśliwych, furtka się odchyliła.

Widok wnętrza zdziwił ich przyjemnie. Znaleźli tu życie i ruch gospodarny, których nikt się nie domyślał po za ścianami tego ula.

Dziedziniec był przedzielony wieżą i murem na dwa pomniejsze dziedzińcyki. W pierwszym, kręciły się strażnicy, mające tam swoje pomieszkania, składy żywności i broni. W drugim, wewnętrznym dziale, mieszkaly panny zakonne.

Za tę drugą furtę, kasztelan wziął już tylko sędziów

i starszych rycerzy, zostawiając żołnierstwo i wszelką młodzież w towarzystwie straży zamkowych.

Jan i niewiasty szli przodem, z sercem bijącym od niewytłómaczonego wzruszenia.

Izba „gościinna” była na piętrze. Dochodziło się tam po schodkach zewnętrznych, skośnie prowadzących do krużganku.

Właśnie w tęg chwili z pod tych schodków, z głębi lochów zamkowych, wyszła stara mniszka, zgięta pod naręczem drzewa, które niosła do kuchni.

Spostrzegłszy nadchodzącą trójkę, ustąpiła z drogi pokornie, i patrząc na nich, uśmiechnęła się jakby dawna znajomość.

Nikt jednak z trojga podróżnych jęć nie znał.

Była bardzo sucha i wychudła. Rysy, mocno już wiekiem zaostrome, zdradzały wszakże ślady niepośledniej piękności; oko czarne, powłóczyste, miało jeszcze cudne przebliski. Z całej postaci wiała jakaś surowość, którą tylko wyraz miłosierdzia łagodził. Mniszką tą była, jak się okazało później, sama księżna Kinga pełniąca w klasztorze najlichsze posługi. Poznała widocznie Elżbietę i Ludmiłę, bo zaraz na wstępie ucałowała je serdecznie, a pocałunki te wstrząsnęły je tak dziwnie, że nie mogły i słowa przemówić. Dopiero później opanowawszy wzruszenie przedstawiły rzecz całą.

Księżna nie wątpiła o słów ich prawdzie, lecz wyrzekła również że aby przekonać drugich, trzeba dotykalnych dowodów. Poleciała więc Janowi, aby starał sobie przypomnieć coś, co by naprowadzić mogło na ślady jego bytności w Żegnaucu w owych odległych czasach i Jan przypomniał sobie różę jerychońską matki, którą wrzucił do skarbca gdzie zamurowano klejnoty. Księżna wtedy proroczym duchem natchniona, kazała im wszystkim jechać do Żegnauca mówiąc, że tam odnajdą kryjówkę i różę, której liście się zazieleńią aby świadczyć o prawdzie.

Rycerze przyjęli te słowa z pół uśmiechem niedowierzania, niewiasty zaś z wiarą głęboką w ich ziszczenie. Gdy wychodziły pożegnawszy księżnę, czuły obie dziwną lekkość i siłę jakby im lat i cierpień ubyło, zakryły zasłonami oblicze nie śmiąc wystawiać na podziw swych twarzy, bo czuły że pocałunki świątobliwej pani miały moc cudowną... jakoż tak było w istocie, zostały uzdrowione... wolne od trapiąceć je plagi...

W Żegnaucu, gdzie się udano pomimo wezwania kasztelana, Zyndram nie chciał wpuścić przybyłych, daremnie więc przez trzy dni obozując w pobliżu rozmyślali co począc, gdy Elżbieta przypomniała sobie tajemne podziemne przejście do Iłży. Uradowany tem kasztelan postanowił nie tracąc czasu udać się natychmiast lasami do tamecznego zamku. Skoro się więc tylko ściemniło, zabrawszy niewiasty, sędziów i część zbrojnych, zostawiając resztę ludzi pod murami Żegnauca, wyruszył w drogę. W Iłży wszakże nie łatwa była sprawa, zanim w na wpół rozwalonej zamkowej baszcie odnaleziono podziemie któremi niegdyś uchodziły branki. Szczęście jeszcze, że było niezawalone gruzami, a otwory porobione tu i owdzie na zewnątrz przepuszczały powietrze. Poszli więc wszyscy napotyając po drodze, kościotrupy poległych jeszcze w czasie najścia Tatarów wojowników. Przeszedłszy bezpiecznie nie łatwą do przebycia drogę, cały orszak wkroczył w końcu cicho bez szelestu do komnaty należącej niegdyś do Elżbiety, dziś opustoszałej, i przed Zyndramem, który siedział tam posępny i chmurny przed na wpół opróżnionym dzbanem wina... stanęła nagle Ludmiła...

Pewna była że Zyndram krzyknie, że zerwie się z przerażeniem, i ucieknie jak ów Tatar z pod lasu.

Tymczasem Zyndram ani krzyknął, ani się zerwał. Patrzył wzrokiem osłupiałym, ruszył ręką jakby chciał się przeżegnać, potem, twarz zaczęła mu bieleć — oczy się zaszklily.

Ludmiła nie wiedziała że przez ów przeciąg czasu który upłynął od pocałunku Kingi, rysy jęć, ciągle ukryte pod za-

słoną, nie tylko wygoiły się i wygładziły najzdrowiej, ale i nabrały nadziemskiego uroku.

To też teraz, gdy podniosła rąbek, twarz którą pokazała Zyndramowi, była cudownie piękną.

Widok dawniej znajomej, zeszpeconej przez lata i chorobę, nie byłby nigdy Zyndrama tak przeraził, jak widok tej piękności, której zachowania, czy wskrzeszenia, po ludzku nie mógł sobie wytłómaczyć. Przekonany był, że widzi „ducha” Ludmiły, który powraca z tamtego świata by mu zapowiedzieć pomstę nieba — spiorunowany i do kości zmrożony, byłby może za chwilę padł trupem.

Na szczęście, drzwi od sypialni się rozwarły, i wszyscy wtargnęli.

Zyndram przetarł oczy, oprzytomniał, szepnął:

— A! To tylko ludzie!...

I wstawszy majestatycznie, zawołał:

— A to co? Zkąd się ci zbóje wzięli?

Potem postąpił ku drzwiom od sieni, krzycząc:

— Hej! Do mnie! Do mnie, moi wierni!

Ale nim zdołał otworzyć, kasztelan zabiegł mu drogę, położył ciężką rękę na jego ramieniu i rzekł:

— Nie krzycz próżno. Zamek już wzięty. Nie chciałeś mię przyjąć bramą, wszedłem którądy się dało. Trzymajcie go!

I wnet kilkunastu zbrojnych otoczyło Zyndrama.

Gdy starzec widząc że nikt mu nie przychodzi z pomocą stał osłupiały; wszedł Jan, Elżbieta i inni.

Teraz odbyć się miała stanowcza próba. Jan musiał wskazać miejsce gdzie były ukryte skarby; jakoż poszedł śmiało ku zamurowanej framudze. Elżbieta pokazała wtedy co należało uczynić aby się dostać do skarbcza, jakoż gdy podniesiono kamienną płytę, ukazały się po za nią drzwi żelazne.

Na ten widok okrzyk tryumfu, wyrwał się ze wszystkich piersi. Sędziowie zwłaszcza byli uniesieni; więc skarbczyk istniał, więc to wszystko nie było bajką!

— Już wygrana sprawa — krzyczeli — już niczego więcej nie trzeba!

Na widok drzwiczek Zyndram struchlał, zrozumiał, że tam może być jakiś dowód.

Uderzył się pięściami w skronie i szepnął przez zęby:

— Jakież ze mnie głupiec, że mając tyle lat ten kastel w rękę, nie przyszło mi do głowy aby w murach poszukać!...

Tymczasem Elżbieta otwierała drzwiczki a następnie Jan wydobywał klejnoty i pieniądze aż wreszcie wydostał i ową jerychońską różę.

Kasztelan chciał zaraz potem uwięzić Zyndrama, ale Jan szlachetnie wstawił się za niegodziwym stryjem i wypuszczono go na wolność. Wszyscy obecni tymczasem patrzeli z podziwem na Ludmiłę, którą przedtem widzieli z zasłoniętą twarzą. Wielki Boże, szeptali z cicha, co się jęj stało? a toć to istny anioł!...

Wtedy Ludmiła, która z dosłyszanych szeptów już zaczęła pojmować o co chodzi, przystąpiła ku Elżbiecie, i podniosła jęj rąbek.

Wszyscy wydali jeden okrzyk.

Jan padł na kolana.

Elżbieta była jeszcze piękniejszą niż Ludmiła.

Nasze branki wyglądały inaczej niż w pierwszym rozkwicie swego życia, a nie wyglądały też wcale i na dzisiejsze swoje lata. Starość zniknęła zupełnie z ich rysów, ale i młodość nie powróciła na nie, przynajmniej nie taką wróciła jak dawniej. Ze czterech pór żywota człowieka, dwie inne pory przeważnie w nich jaśniały: nieskalana niewinność wieku dziecięcego, i rozumny wyraz najwyższej dojrzałości. — Cała ich dzisiejsza piękność polegała na niesłychanym wyjaśnieniu i przezroczeniu cery, przez którą już przeglądało nieśmiertelne. A przeglądało taką czystością, spokojem i po-

godą, że ktokolwiek do nich przystąpił, doznawał także oczyszczenia myśli, uspokojenia serca, i roz pogodzenia duszy.

(d. c. n.)

POGADANKI NAUKOWE,

przez

Henryka Wernica.

— Ojcie! — zawołały dzieci, powróciwszy od fotografa, — czy to te osoby rysują fotografie, które siedzą przy stolikach i pędzelkami coś malują?

— Nie, moje dzieci, osoby te umaczanym w tuszu pędzelkiem, z lekka tylko dotykają tych miejsc fotografii, które samo słońce odmalowało.

— Jaktó! — zawołały zdziwione dzieci — więc słońce samo maluje? Jak to się dzieje ojcie? objaśnij nas, bardzo cię o to prosimy.

— Poczekajcie chwilkę, zaraz zrozumiecie jak to się dzieje. To powiedziawszy, ojciec wprowadził dzieci do przyległego pokoju, w którym były okiennice otwierające się z wewnątrz i zamknął je tak szczelnie, że zupełna nastąpiła ciemność.

— Co to będzie — zawołały dzieci — pewno nam ojciec pokaże latarnię magiczną.

— Chwilkę cierpliwości moje dzieci — rzekł ojciec, a wzięwszy mały świder, wywiercił nim niewielki otwór w okiennicy. Kiedy wyciągnął świder, jasny promień światła wpadł do pokoju. Natychmiast mała Józia zbliżyła się do otworu, aby zobaczyć co się dzieje na dziedzińcu.

— Czekaj Józio — rzekł ojciec, nie zasłaniaj promienia, pozwól mu wejść do pokoju, to zobaczysz, że nawet nie wyglądając przez otwór, ujrysz co się dzieje na dziedzińcu. Ojciec wziął w rękę arkusz białego papieru, rozpostarł go i w znacznej odległości od okna postawił tak, żeby promień światła na niego padał. W tej samej chwili odbił się na arkuszu cały dziedziniec, studnia, mały ogródek, drzewa a nawet kwiaty, ale wszystko na wywrót. Wkrótce potem ujrzano na papierze człowieka z polewaczką zbliżającego się do studni.

— To Piotr — zawołała Marynia poznawszy w zbliżającej się osobie ogrodnika — jakże on dziwnie wygląda, zdaje się jak gdyby chodził na głowie.

— Tak — dodała Józia — ale i drzewa i studnia są tu wywrócone.

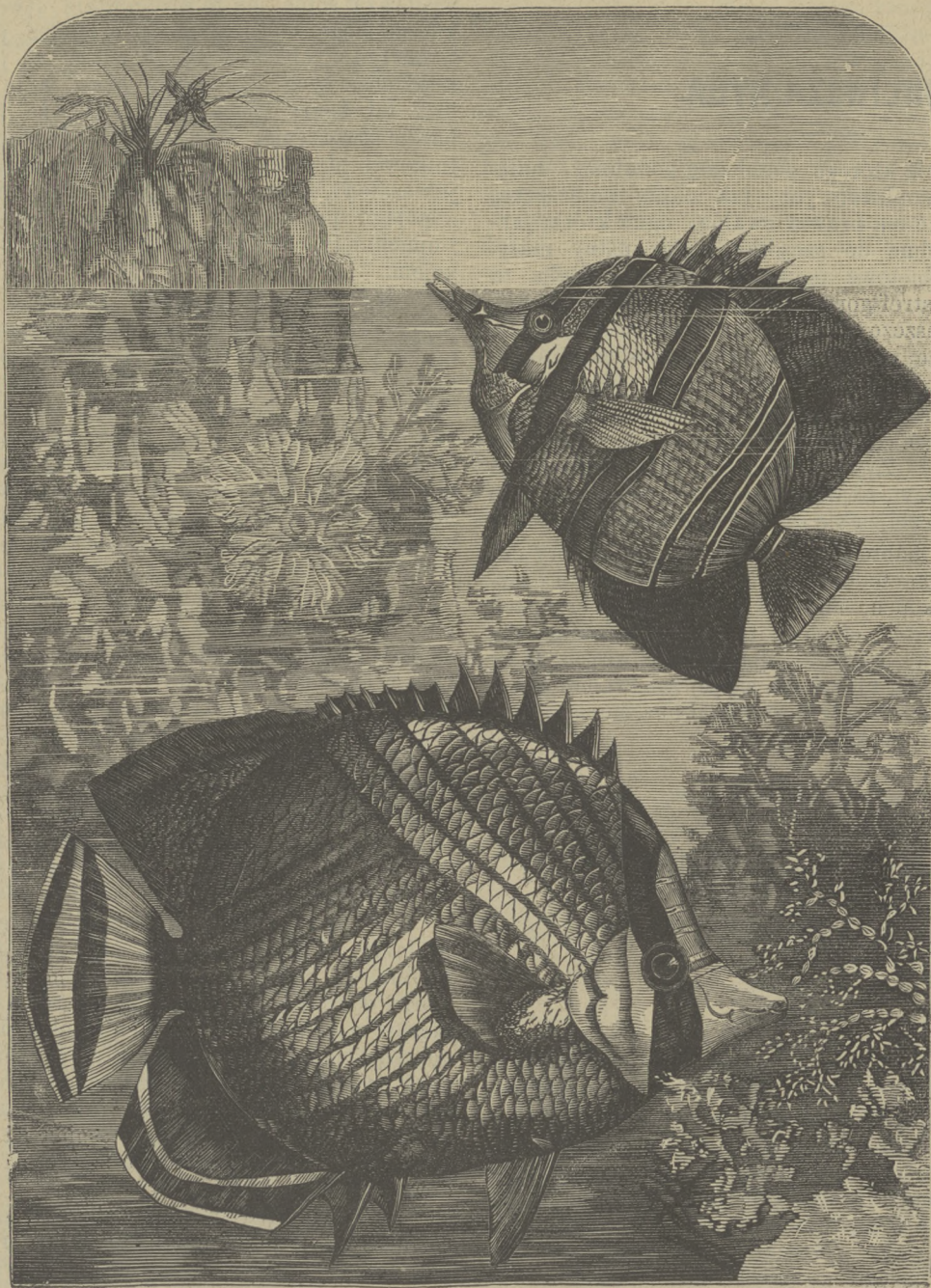
— Rozumiecie teraz, że promień słońca maluje na papierze wszystkie te przedmioty.

— Ach — rzekła Józia — Piotr już odchodzi, szkoda że jego portret nie da się utrwalić.

— Owszem, można to uczynić; w ten sposób powstaje fotografia. Samo światło słoneczne maluje portrety fotograficzne. Wyraz fotografia znaczy, że rysunek został wykonany przez światło.

— Jakże się to dzieje? — zawołały wszystkie dzieci.

— Fotografowie używają pewnego roztworu, którym powleczonego papieru posiada własność, że jeśli go wystawimy na działanie światła, to zupełnie czernieje. Wyobraźcie więc sobie, że mamy taki arkusz papieru to dopóki ciemno w pokoju, nie zmieni on swęj barwy, to jest pozostanie białym, ale jak go tylko postawię tak, żeby promień słońca mógł na niego padać, to natychmiast czernieje. Wyobraźmy sobie dalej, że Piotr stoi przed otworem okiennicy, to na tym czarnym papierze jedyną białą plamę stanowić będzie twarz Piotra i cała jego postać.



Chaetodon.

— Pudło, jakie widzieliście u fotografa, jest takim małym, ciemnym pokojem, który z łacińska zowie się *Camera obscura*; przez maleńki otwór wchodzi do niego światło, przed którym staje lub siedzi osoba, której chcemy zdjąć portret. W głębi pudełka znajduje się tafla pokryta roztworem, o którym wam powiedziałem, czerniejącym pod działaniem światła. Fotograf zdejmujący fotografią, otwiera mały otwór, przez który promień światła wpada do pudełka, i po chwili go zamyka, pewny że promień słońca odmalował już portret na taflę.

Objasniłem wam tedy jak się robi fotografia; a teraz pokażę wam inne ciekawe zjawisko, z jakich barw składa się światło. Widzicie ten kawałek przezroczystego szkła, jest ono podobne do tych jakie zawieszają u żyrandoli, a zowie się pryzmatem. Potrzymaj Józiu pryzmat na promieniu słońca, a ja w pewnej odległości umieszczę biały arkusz papieru.

— Cóż widzicie na papierze?

Dzieci ujrzały na papierze wszystkie barwy tęczy.

— Policzcież je — powiedział ojciec — a znajdziecie

że ich jest siedm: fioletowa, indygo, niebieska, zielona, żółta, pomarańczowa i czerwona. Te wszystkie kolory łącząc się ze sobą i mieszając, tworzą barwę białą. W ten sam sposób powstaje tęcza na niebie, tylko że zamiast przez pryzmat, przechodzą tu promienie przez krople wody zawisłe w chmurach.

OSOBLIWSZA RYBA.

Dziwne stworzenie którego podobiznę podajemy, należy do rzędu ryb cierniopletowych, jak okuń, koluszcza, i wiele innych. Postać ma prawie owalną, ogon krótki jakby ucięty, zęby podobne do szczotki, otwór ustny mały. Cierniste pletwy grzbietowe pokryte są łuską. Ryba ta przebywa w morzach stref gorących i odznacza się prócz wybornym smakiem, jeszcze i ślicznym ubarwieniem, jakie u ryb rzadko się zdarza, i to najwięcej tylko wśród istot zamieszkujących oceany.

„Chaetodon wędrowny” umieszczony na dole naszej ryciny, ma pyszczek krótki, skórę żółto-złotawą z pręgami pysznie purpurowemi. Żyje w morzach południowych od Czerwonego do Polinezyi, najobficiej około Ceylonu; w lecie i w początkach jesieni zbliża się do brzegów najwięcej.

Drugi gatunek Chaetodona przedstawiony u góry naszej ryciny jest to „Chaetodon dziobiasty” o pyszczku dłuższym, otwartym na końcu, mieszka głównie przy brzegach Jawy. Bogacze indyjscy chodują tę piękną barwistą rybę w dużych naczyniach, nie tylko dla jej dziwnych barw i kształtu, lecz także dla ubawienia się jej zabawnymi gwałtownymi skokami, za pomocą których łowi ona muchy i inne owady lądowe, jakimi zwykle się karmi.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NA OKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Z radością wstępowałem na pokład okrętu w Tulonie, zdawało mi się, że nie ma chyba nic w świecie przyjemniejszego, jak morska żegluga: teraz jednak z niemniejszym zadowoleniem po długiej żegludze dotknąłem stopą lądu! O czemuż ja nie mogłem zająć do tych wspaniałych lasów Ceylonu, w których przechadzają się dzikie słonie, zwinne małpy skaczą po gałęziach, a w gąszczach kryją się prześliczne bażanty złoto i srebrno-pióre. Musiałem poprzestać na obejrzaniu gaju, przytykającego do miasteczka Colombo. Nie mogłem w nim napotkać żadnych zwierząt dzikich, bo to jest rodzaj parku. Napatrzyłem się do woli na piękne palmy kokosowe, które szczególnie na wybrzeżach morskich dobrze się udają, zakosztowałem świeżuteńkiego mleka z kokosu, rozłupawszy go wprzód własnoręcznie. Widziałem także drzewa chlebowe, banany, i mnóstwo innych roślin zwrotnikowych. Wszystko to razem tak dziwnie, tak odrębnie wygląda, trudno mi było uwierzyć, że patrzę na drzewa i krzewy w gruncie i pod gołym niebem rosnące, widok ten sprawił na mnie wrażenie olbrzymiej jakiejś cieplarni. Żaden liść niepodobny do tego, co się widywało w naszym kraju, a jaka rozmaitość, jak to bujnie, rozkosznie wyrasta, chwilami, aż mi się w oczach śmiło od tej masy niezmierniej zieleności, o jasnych, prawie jaskrawych odcieniach. U nas liść topianu wydaje się bardzo duży; jakby on tu wyglądał przy tych olbrzymich liściach bananów i innych zwrotnikowych roślin.

Miałem ochotę zapoznać się bliżej z dzikimi zwierzętami tej krainy, i spełniło się moje życzenie, chociaż nie po-

wiem, abym był tem zachwycony. Nie napotkaliśmy w wędrowce nasze ani słoni dzikich, ani małp, ani bażantów, lecz za to opadło nas stado prawdziwych drapieżników, krwiożerczych istot, z którymi musieliśmy staczać walkę, niestety! bezskuteczną. Nie myślę cię jednak zaciekawiać zbyt, była to po prostu chmara mustyków; trudno wyobrazić sobie, jak te drobniutkie stworzenia okrutnie dokuczać mogą. Opędzałem się, broniłem, jak mogłem, dusiłem to obrzydłe robactwo, ale gdzietam, za jednego uduszonego, setki mściwych jego braci krew moją serdeczną żłopało. Tak mi twarz spuchła okropnie, że wyglądałem, jak nie boskie stworzenie. Już nawet i piękność roślinności zwrotnikowej straciła urok dla mnie, uciekałem przed tą plagą jak szalony, ledwo mnie dogonił p. Antoni. Naśmiał się też z mojego przestrachu porządnie, chociaż i on był skąsany i opuchnięty, lecz znosił tę dolegliwość z bohaterskim spokojem.

Na szczęście kapitan „Jaskółki” miał w pogotowiu przyrządy ochronne, zwane „mustykierami”, które tak skutecznie osłaniają ze wszystkich stron łóżko, że ani jeden drapieżny komar nie może się przez nie przecisnąć. Inaczej byłyby nas z pewnością żywem przez noc pożarły. W aptece okrętowej znalazł się jakiś balsam, którym p. Antoni zbolała moją fizyognomią namaścił; przyniosło mi to wielką ulgę, usnąłem pod osłoną dobroczynnego mustykieru, a gdy nazajutrz rano podniesiono kotwicę i „Jaskółka” rozwinęła, nie skrzydła wprawdzie, lecz śrubę do lotu, wcale nie rozpaczale za niegościnnem wybrzeżem Ceylonu.

Płynęliśmy teraz odnogą Bengalską, w powietrzu zapanaowała większa cisza i zaraz jednocześnie termometr podskoczył znowu do 30 st. i wyżej, gorąco zaczęło nam dokuczać w sposób dość niemiły. Ha! cóż robić, wiedział człowiek przecież, że się wybiera do gorących krajów. 19 Kwietnia ukazuje się nam w oddali północny cypel Sumatry, pasmo gór sinych odcina się ciemniejszą smugą na krańcu widnokręgu. Dalej znów, jak paciorki różańca, przesuwają się przed oczyma naszymi cały długi szereg wysepek zielonych, ślicznych, które uśmiechać się do nas zdają i wabić ku sobie. Oj! znam się na tych urokach, żebyż w tych gajach zaczarowanych nie wylęgały się mustyki...

Wreszcie 20 Kwietnia ukazuje się wybrzeże półwyspu Malakki. I tu prześliczne palmy, banany, cały przepych roślinności zwrotnikowej, zielonym rąbkiem brzeg lądu od morzu odcina. Za tą osłoną dostrzedz się daje pasmo gór niezbyt wysokich, o szczytach zaokrąglonych. Wieczorem, gdy się ściemniło, widzieliśmy znów ognie, palące się w osadach nadbrzeżnych. Dnia następnego rano przybył sternik miejscowy, sprowadzony przez naszego kapitana, aby okręt przeprowadził wąską cieśniną aż do portu Singapore, gdzie my obaj z p. Antonim mamy na czas dłuższy wylądować.

Płyniemy tedy wzdłuż wybrzeża, czarodziejskie widoki roztaczają się przed nami: tu bujna rozkoszna roślinność, pokrywająca brzegi, takie sprawia wrażenie, jakgdyby jej tam było za ciasno, czasem się zdaje, że lada chwila krańdź lądu rozsadzi i powodzi zieleności morze zaleje. Już słońce zniża się ku zachodowi, niezdługo okręt zatrzyma się w przystani, a my z p. Antonim pożegnamy go i na noc podążymy do angielskiej dzielnicy w Singapore. Kończę śpiesznie pisanie, trzeba pójść rzeczy uporządkować i być w pogotowiu, aby zacy mój opiekun nie czekał na mnie. Te gryzmoły oddane będą na pocztę w Singapore, bo tam jest stacya pocztowa i okręty odpływają ztąd regularnie do Europy, odwożąc listy i przesyłki. Jeżeli dotychczas nie miałem nic ciekawego do doniesienia, to teraz zapewne będzie inaczej. Następne kartki dziennika przyniosą ci zapewne, siostrzyczko droga, mnóstwo zajmujących rzeczy. Przygotuj się na to i bywaj mi zdrowa.

22 Kwietnia.

Już od dwóch dni jestem na lądzie, nocuję w hotelu, bardzo słusznie nazwanym „Hotelem Europejskim”, bo rzeczywiście po europejsku jest urządzony. Lecz dość wyjść

na ulicę, aby sobie przypomnieć, że to Azja. Rzecz dziwna, ludność tutejsza po większej części składa się z Chińczyków, chociaż wyspa Singapore do Indji należy. Wcale nie powabnie wyglądają ci obywatele państwa Niebieskiego. Ubiór mają z bawełnianej tkaniny brudno błękitnej, włosy splecione w warkocz, zupełnie jak na rysunkach. Ale na rysunkach nie widać, jacy oni są brudni; ach! do obrzydliwości, przybliżyć się do nich trudno, chyba z nosem zatkniętym... Pan Antoni najął w porcie dwóch tragarzy Chińczyków, żeby przenieśli rzeczy nasze do hotelu. Zalałowili się z tem żwawo i zręcznie, ale jakże nam okropnie pokój zapowietrzyli!

Wyspa Singapore jest w posiadaniu Anglików; dawniej był właścicielem władca indyjski maharadża Dżohory, ten odstąpił ją rządowi angielskiemu za znaczną pensją dożywotnią i teraz urządzono tu wygodną stacyą dla okrętów, żeglujących pomiędzy Europą i Azją. Cała wyspa wygląda jak park przepyszny, bujne, wspaniałe lasy zwrotnikowe porzecinane są szerokimi gościńcami, wszędzie widać uprawne grunta i ogrody. Dziś odbyliśmy z p. Antonim bardzo miłą wycieczkę, zwiedziliśmy Dżohorę, rezydencyą owego maharadży, o którym wspominałem wyżej. Dżohora leży na samym cyplu półwyspu Malakki. Przejechaliśmy więc w poprzek całą wyspę, a co to była za droga pośród tych wspaniałych lasów, tego nawet wypowiedzieć nie potrafię. Potem łodzią przepawiliśmy się przez odnogę, nie szerszą od rzeki, oddzielającą wyspę Singapore od półwyspu Malakki.

W Dżohorze coprawda nie widziałem nic ciekawego, miasteczko po europejsku zbudowane, pałac maharadży u nas nazwałby się co najwyżej dworem, dość niski, wcale nie okazały. Ponieważ władcy nie było w domu, pozwolono nam zwiedzić ten pałac wewnątrz. Mocno byłem rozczarowany. Wyobrażałem sobie jakiś przepych wschodni, jakieś nadzwyczajności, a tu wyobraź sobie, krzesła, stoliki, kanapy, zupełnie jak u nas w Europie. Mówią, że ten maharadża uwielbia Anglików i naśladuje ich we wszystkim; to też i mieszkanie swoje urządził na angielski sposób. Po ulicach snuje się mnóstwo brudnych Chińczyków, jednym słowem, daleko piękniej tu jest w lesie, aniżeli wśród mieszkań ludzkich.

23 Kwietnia.

Mamy tu zabawić dwa tygodnie, a potem wybrać się na wysepkę Krakatau, gdzie to parę lat temu była straszna katastrofa, trzęsienie ziemi i wybuch wulkaniczny.

P. Antoni okropnie się nudzi i powiada, że w tym zakątku niema co robić, chciałby tymczasem jakąś dalszą wycieczkę urządzić, np. do którego ze znaczniejszych miast indyjskich. Ja także nie byłbym od tego, ale jak na toż nie możemy się doczekać żadnego okrętu, któryby nas chciał zabrać. Snujemy się po wyspie, a nie powiem, żeby i tu nie było ciekawych rzeczy do oglądania. Opaliłem się już porządnie na słońcu tutejszem, szkoda że tu niema fotografa, chciałbym ci posłać wizerunek brata twego w stroju podróżnika. Jeszcze w Paryżu za radą p. Antoniego ojciec zaopatrzył mnie w stosowną garderobę i różne przybory. W braku fotografii muszę ci opisać, siostrzyczko, jak wyglądam. Garnitur z lekkiego jedwabiu chińskiego, niewarowego koloru, kapelusz panama z szerokim rondem, przez plecy przewieszona pyszna leciutka dubeltówka, oprócz tego rewolwer za pasem, torebka u boku, a w niej i amunicya, i notesik z ołówkiem, i lornetka; oto jest rynsztunek, w którym odbywam wycieczki na azyatyckiej ziemi, rozkoszując się widokiem zwrotnikowych krajobrazów.

Wczoraj zwiedziliśmy wioskę malajską w pobliżu miast. Raz przecież obaczyłem architekturę odrębną, azyatycką. Domki te wyglądają nakszałt szalasów, wznoszą się na palach, sklecone z desek drewnianych, przeplatanych giętkimi prętami bambusowymi, dachy także wyplecione z bambusu. Nie wiem jednak do czego im służą te domy, bo wszyscy mieszkańcy, mężczyźni, kobiety, dzieci, ustawicznie siedzą na dworze, a jak mi mówiono, na dworze także i nocują. Dokoła tych domków rosną prześliczne palmy koko-

sowe. Malajczycy nie są tak brudni i obrzydliwi, jak Chińczycy, ale nie odznaczają się porządkiem i podobno leniwi są i strasznie niedbali.

W nocy przebudził nas wystrzał armatni. Zerwał się p. Antoni, wybiegł i po chwili powrócił z wiadomością, że pożar wybuch w tej samej wiosce, którąśmy zwiedzali. Ubraliśmy się w mgnieniu oka i wybiegliśmy na ulicę; łuna jaskrawa widniała w oddaleniu. P. Antoni najął dorożkę tutejszą i kazaliśmy się zawieźć na miejsce pożaru. Ale jeszcze ci nie powiedziałem, jak te dorożki wyglądają, nie wyobrażaj sobie, że tak samo, jak nasze; nazwa tylko podobna, bo nazywa się ten cudacki zaprząg *dżinriksza*. Jest to wózecek malutki, ciągniony przez... czy uwierzysz? człowieka. Zwyczaj ten z Japonii tu się dostał niedawno podobno, a owe „dżinriksze” ciągną Chińczycy.

Nie jestem bez serca i pierwszą moją myślą była litość dla biednych pogorzalców; lecz pożar ten wśród nocy pogodnej, wśród uroczego krajobrazu, tak wspaniale wyglądał, że o wszystkim zapomniałem, patrzałem zachwycony, oczu oderwać nie mogłem od tego widoku. Klitki bambusowe płonęły jak pochodnie, rozwiane warkoczce palm w tem oświetleniu jaskrawem przybierały fantastyczne kształty, kiedy niekiedy pnies ich wysmukłe, objęte płomieniem, z głuchym łoskotem padały zgruchotane, pęki liści olbrzymich unosiły się i uwiły nad ogniem, jakby istoty żyjące.

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

(od Poranka majowego dla Pegaza).

ka	mo	je	ach	nie	cze	bia	ru	wię
go	bia	cze	to	da	szy	cój	strzel	i
ja	wie	nie	ca	zwy	że	dzi	ka	na
da	złej	kle	po	bło	zda	na	da	waj
niec	ra	strzel	le	nie	cho	gnaw	gę	dziew
du	je	i	u	szy	ka	skro	cho	bia
da	wło	za	to	kto	ła	cia	wiąc	się
mu	szy	bo	ży	ży	mó	przy	na	Do

SZARADA.

(Od Malarza nadsekwańskiego dla Datury).

Pierwsze jest silne drzewo co wśród lasów szumi,
A wieszcz je ukraiński tak dobrze rozumie;
Drugie jest miejsce błotne, a czasem i suhe,
W niem niezabudki, żabki, lub milczenie głucho,
A czasem, różnie bywa, więc gdy kto tam wpadnie
To i nieszczęście także może tam być na dnie.
Prócz tego, w mój szaradzie jest jeszcze i trzecie,
Ale to już z łatwością i w *kasy* znajdziecie.
Wszystko zaś, to królowa, co poddanym swoim
Przyniosła skarb, ten który jest waszym i moim.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

Szarady:

My — śli — wiec.

Łamigłównki geograficznój:

G E N E W A
c E y l o n
l o N d y n
t r y E s t
m o r a W y
m a l a g A

Skrzynka do listów.

(Dokończenie).

Złotą Tęczę ściskamy obie z „Dobrą panią“ i prosimy, aby nas zawsze kochała. Za ubranie biedna sierotka bardzo i bardzo jest wdzięczną. Ściskamy również serdecznie drogą **Czarnuszkę z Mroczkowa**. Żartujesz sobie Czarnuszkę mówiąc, że zagniewać się mogę za nową korespondencję, jak gdyby gniewać się było można za to, co nas raduje. Pisuj do mnie Czarnuszkę i bądź pewna, że liściki twoje będą mi zawsze miłe.

Nie wybieram się niestety! w wasze strony **Brzozko Podolska**, ale ty przyjeżdż do Warszawy i przyjeżdż do naszej redakcji. Będę szukać dla ciebie tego czego żądasz, ściskam cię tymczasem milion razy za twe serdeczne wyrazy dla mnie.

Kto tak ładnie pisze w dziesięciu latach, jak ty, droga **Jutrzenko**, tego liściki tylko radość sprawiać mogą, pisuj je więc najczęściej droga mała siostrzyczko. Gdy będziesz w Warszawie a przyjdiesz do naszej redakcji, to poznasz tam tę, która obecnie do was pisuje i zastępuje „kochaną panią“, tak jak ją zastępowała wtedy gdy była chorą.

List twój, droga **Staszko z Podola**, bardzo mi był miły, bo przyjaźń twoja dla nas, siostrzyczko droga, już wypróbowana przez dawne lata. Pisuj więc do nas zawsze i kochaj w twoim podzielnym wieku tak, jak kochałaś zamołodu, droga staruszkę.

Pojmuję, że dla przyczyn, które przytaczasz, nie masz czasu na korespondencję, droga moja **Baniuto**, ale za to tem wdzięczniejszą jestem, że o mnie nie zapominasz. Sądząc z listu napisanego tak poprawnie, wnoszę, że z egzaminem nie wiele mieć będziesz trudności. Życzę z całego serca, aby ci wypadł pomyślnie, a w pierw jeszcze, abyś się ucieszyła powrotem do zdrowia mamy.

Niezabudce czeskiej. Nie wątpię, że kto umie tak pisać listy, jak **Niezabudka czeska** i przyobiecany nam opis odpowiednio wykończyć potrafi, więc czekam go niecierpliwie, ściskając tymczasem miłą moją **Niezabudkę**.

Tak **Kokoszko** droga, mamy drugą **Kokoszkę**, musisz sobie więc czubek przypawić, ażeby się od niej odróżnić, ale nie przedstawaj dla tego pisać do nas, bo miło odbierać tak ładne i kalfograficzne liściki.

Jakżeś mnie ucieszyła miła **Ukrainko z pod Korsunia** fotografią swoją, siostrzyczki i ślicznego braciszka, którego bym za-

raz ucałować rada. Będę się starała w zamian uczynić zadość pierwszemu żądaniu twemu. Co do drugiego... o tem później pomówimy, droga siostrzyczko, bo czas kończyć odpowiedzi i tak już aż nazbyt długie.

Mimozo droga, tworzymy wszystkie jakby jedną rodzinę, której Dobra pani jest matką; a ty „nie śmiesz“ napisać do niej? Ach doprawdy! zasługiwałabyś abym za karę nie odpowiedziała na twe pytanie. Nie będę jednak tak okrutną i odpowiem: projekt o który pytasz, wchodzi w wykonanie.

Stokrotko z nad Pilicy, pamiętasz bajeczkę Jackowicza o plamie która się „nie wypierze“? nie martw się zatem tą, którą zrobiła maluchna rączyna siostrzyczki. Za koszulkę oraz pracowite uszyście w rękę, dziękuję w imieniu biednej dziewczynki siostrzyczko moja, która igielką i piórem władać umiesz.

Symfonio, za życzliwe dla mnie nieznaną ci usposobienie, serdecznie dziękuję, a tobie Halko z Litwy za przesyłkę. Pomyśl tylko, jak to rozkosznie tym biednym dzieciom uciec w taki skwar na wieś! I jabył rada pojechać! ale kto wie czy braciszek mój za siebie i za mnie nie użyje tegorocznych wakacyj?

Gwiazdka Jerozolimka pozwól że co do bliższych o sobie szczegółów zachowam tajemnicę, a dla szlachetnych twoich zamiarów, oraz biednych oczą zmęczonych najszczerszą wyrażę sympatyę. Siostrzyczko ty moja, dobrej woli pełna, czy w *mojem* otoczeniu nie znalazłabyś wiele, wiele do zrobienia? jest tam pole do pracy takiej właśnie o jakiej marzysz, a nie brak ludzi dobrej woli, którzy ci wskażą jak pracować należy.

Do widzenia, drogie, kochane moje, zbierając kwiatki i słuchając śpiewu ptasząt, myśleć będę o was, Różyczki, Jaskółki, Fiołki, Lilijki, Kuropatwy, Niezapominajki, o was, co się kryjacie pod pseudonymami, a macie wszystkie jedno dla mnie miano — ukochanych siostrzyczek.

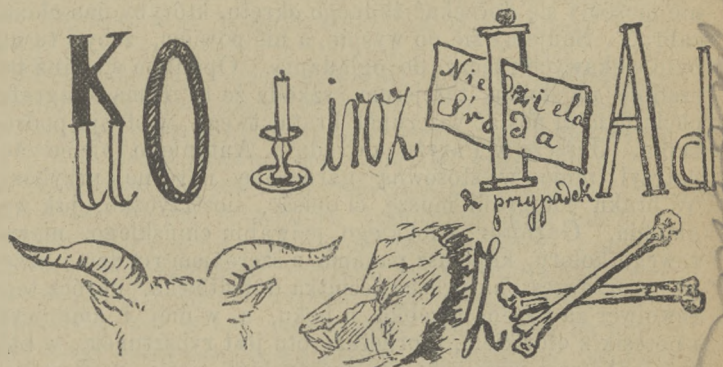
Golębka Pocztowa.

OGŁOSZENIE.

Poszukuje się na wieś w guberni Siedleckiej chłopczyka dla wspólnego przygotowania się do szkół. Wiadomość w Redakcji.

Wyszła z druku książeczka wierszem i prozą p. t. „Pies“, napisana dla małych dzieci p. **Maryą Weryho**. Cena kop. 20.

REBUS.



TREŚĆ: Dwunastoletni król p. Aureliusza (z drzew.) — Uśmiechy życia, wiersz p. Teresę Prażmowską. — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Pogadanki naukowe p. Henryka Wernica. — Osobliwsza ryba (z drzew.). — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.). — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek:** W gniazdku, wiersz (z drzew.). — Mysz w słoju. — Dzień swobody, powiastka p. Maryą Brühlową. — Łamigłównka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



W gniazdku.

W GNIAZDKU.

Małe dziatki jak pisklęta,
Małe gniazdko jak chateczka,
Póki w gnieździe zgoda święta,
Pieści dziatwę swą mateczka;
Lecz gdy swarzą się pisklęta,
Ptaszka dziobnie jedno drugie,
Pisk z każdego słyhać kątka,
Smutne żale, skargi długie.
Gdy się w chatce swar rozszroży,
Choć nie skarci nikt swawoli,
Dzieje się tam jeszcze gorzej,
Bo mateczkę serce boli.

MYSZ W SŁOJU.

— Nie cierpię Józefa — mówiła mała Marynia —
znów złapał mysz w pułapkę i dał ją kotowi.
— No, no, niech się panienka nie gniewa, mysz
szkodę robi w spiżarni, i jakże jej więc nie łapać.
— Ale czemu Józef kotowi daje myszkę, można ją
przecież puścić na dwór.
— Ktoby się tam bawił myszami, panienko, czy to
ja mam czas na to.

I stary Józef wyniósł łapkę z myszką, chociaż Marynia żałośnie na nią patrzyła.

Na drugi dzień szła znów mama do spiżarni. Marynia bardzo lubiła chodzić tam ze swoją mamusią.

Bawiło ją gospodarstwo, przypatrywała się troszkę ze strachem jak kucharz dużym nożem krajał mięso, a kucharka pozwalała jej czasem mierzyć groch z faski kwartą i sypać go do fartucha.

A co było radości jak Katarzyna mleczarka robiła panience mały serek! Marynia cieszyła się wtedy bardzo i częstowała nim wszystkich.

Tego dnia długo jakoś trwało wydawanie. Mama ważyła słoninę, ustawiała próżne butelki na półce, a Marynia tymczasem chodziła po spiżarni zaglądając do fasek i słoików.

Nagle w jednym z nich zobaczyła mysz. Był to wielki kamienny słoik, na spodzie leżał kawałeczek słoniny, który tam wpadł przypadkiem.

— Ta słoninka skusiła myszkę — mówiła Katarzyna.

— Pójdę po kota — dodała.

— Nie trzeba kota — zawołała Marynia — wyrzuć myszkę na dwór.

— Kiej ja się myszy boję, panienko — odpowiedziała Katarzyna, i wyszła do garderoby wołając — kici, kici.

— Mamo, każ Katarzynie wyrzucić myszkę — błagała Marynia.

— Katarzyna się boi, ale wyrzuć ty jeśli chcesz.

Marynia bała się także troszeczkę, żal jej było myszki, lecz nuż skoczy ona ze słoja na Marynię. — Brrry... dreszcz przebiegł po skórze dziewczynki, ale nagle usłyszała ciężkie stąpanie wracającej Katarzyny.

— Pewnie niesie kota — pomyślała.

I przewyciężając sama siebie, schwyciła słój, wybiegła z nim na ganek i przechyliła go do ziemi.

Wystraszona myszka wyskoczyła natychmiast, przemknęła się tuż, tuż koło nóżek Maryni, ale na szczęście nie dotknęła ich wcale i zniknęła w krzakach.

Dziewczynka odniosła słój do spiżarni.

— Gdzieś jak na złość podziało się to kocisko — mówiła Katarzyna szukając między faskami.

— Wcale kota nie potrzeba, mysz już na dworze — odpowiedziała jej Marynia.

A mamusia, ważąc słoninę, spojrzała na córeczkę i pomyślała — z rozkoszą: — dobre moja Manusia ma serduszko.

DZIEŃ SWOBODY,

POWIASTKA PRZYPISANA MÉJ WNUCZCE,

Geni Chodźkównie.

(Dalszy ciąg).

— Dla Boga! wilk, uciekajmy!

I nie oglądając się za siebie, słysząc ciągle tylko zbliżające się kroki biegnącego potwora, rzucili garnuszki z poziomkami i biegli, nie zważając na gałęzie drzew, które im drapały twarz i chwytaly ich za włosy. Tak przebiegli łąkę i nie zatrzymali się aż w ogrodzie. Zmęczeni, zadyszani, padli bez tchu na ławkę.

Spojrzeni na siebie, suknia Bronisi w kilku miejscach porozdzierana, zaplamiona poziomkami, smutnie się bardzo przedstawiała, włosy rozłargane, twarz zawałana, bo ocierając łzy zakurzonemi rękami, brudne na nich zostawiła ślady. Alfredek nie lepiej wyglądał od siostry. Otarł pokrywom łyzy płynące i rzekł do Bronisi:

— W takim stanie, do obiadu iść niepodobna, musimy się umyć, uczesać, i przebrać w inne sukienki.

— Mój Boże! mój Boże! taka śliczna zielona popelina na nic się już nie przyda — narzekała Bronisia — mama nie prędko sprawi mi podobną. Co to za pomysł, w takim ubraniu, pójść na poziomki do lasu.

— Przecież to twój własny. Słyszałaś jak panna Aurelia łagodnie przestrzegała, że dziś upał wielki. Oj! zgrzałem się też, zgrzałem.

— Nie mam potrzeby słuchać dziś panny Aurelii — mówiła w złym humorze Bronisia.

— No, to teraz nie narzekajmy, tylko chodźmy się przebrać. Ach! gdybyśmy tak mogli wcisnąć się do naszego pokoju, przez nikogo nie widziani.

Ale w tej chwili przeszedł koło nich pan Kaliński, który niepostrzeżony z daleka czuwał nad niemi, spoj-

rzał z zadziwieniem i nic nie mówiąc skierował się ku domowi.

Dzieci jak wiśnie poczerwieniały.

Ujawszy się za ręce pobiegły za ojcem.

Na tarasie, z którego do sali pałacowej się wchodziło, siedziała pani Kalińska z panną Aurelią, zajmując się jakąś robótką, dzieci koło nich przejść musiały. Spuściły oczy i przeszły śpiesznie zawstydzone.

— Widzi pani — powiedziała panna Aurelia — ja zaraz mówiłam że się to nie dobrze skończy.

— Bądź pani cierpliwa — odrzekła pani Kalińska — niech nabędą przekonania, że dzieci same rządzić się nie mogą, tylko zgadzać się z wolą starszych, pewną jestem, widząc ich zakłopotanie, że sami czują już jak nierozsądnie postępują. W tej chwili służący wezwał państwa do stołu.

Alfredek i Bronisia, czekali w stołowym pokoju. Umyci, uczesani, w czystych sukienkach, wyglądali jak zwykle, gdyby nie kilka zadraśnięć na twarzy i rękach, które w nieostrożnej ucieczce od kołących gałęzi im się dostały.

Podano wazę. Rodzice i panna Aurelia jedli rosół z makaronem, dla dzieci przyniesiono supę migdałową. Zapetytem podnieconym przechadzką, zjadły po pełnym głębokim talerzu, ale gdy wniesiono leguminę biszkoptową, z konfiturami, nie miały już do słodczy ochoty, i z przyjemnością wachały polędwicę z kartofelkami, którą smacznie koło nich zajądano.

— Czemuś nie zadysponowała polędwicy — zapytał cicho Alfredek Bronisi, której pomysł do obiadu poprzednio genialnym nazywał.

— No, bo myślałam, że tak będzie lepiej — odszepnęła Bronisia, i po chwili namysłu odsunęła leguminę, i nieśmiało podając talerz mamie, prosiła o kawałek polędwicy. Mama bardzo chętnie położyła ładny kawałek, przystrajając go kartofelkami, i zapytała łaskawie Alfredka czyby także nie chciał pokosztować polędwicy.

— O! bardzo chętnie — zawołał Alfredek — sam widzę, że mama lepiej obiad umie zadysponować jak Bronisia, wszystko takie słodkie co ona przyrządzić kazała, że aż mdle. Jaka doskonała pieczeń! ach! jaka doskonała.

— Bardzo się cieszę — rzekł z uśmiechem pan Kaliński — że mamie oddajesz sprawiedliwość.

Bronisia znów raka spiekła i obraziła się na Alfredka, ale w duszy pomyślała, że za wiele słodczy, bardzo się sprzykrzyć może. I chętnie jeszcze podała talerz po rumiane kurczątka z sałatą, a gdy przyniesiono krem waniliowy, wcale go już nie skosztowała i prosiła uprzejmie starszych, aby go jedli, co też uczynili.

— Miałam dostać od Bronisi świeżo uzbieranych poziomek — powiedziała panna Aurelia.

— Nie wiele ich było — rzekła czerwieniąc się Bronisia.

W tej chwili wszedł do stołowego pokoju Antos pastuszek, niosąc dwa garnuszki, z których jednemu uszka brakowało.

— Czego chcesz Antosiu? — zapytał pan Kaliński.

— A to przynoszę garnuszki, co panicz i panienka

w lesie porzucili, jak przed cielakiem uciekali, hi, hi, hi, hi — odezwał śmiejąc się Antek.

— Toście przed ciełakiem uciekali? — zapytał poważnie pan Kaliński.

— A tak proszę ojca — rzekł Alfredek — któż wiedział że to cielak.

— Wiesz przecie, że wilków w naszym lesie nie ma.

— I ja mówiłem że cielak uciekł do lasu — dodał Antos — ale panicz ani się obejrzał, tylko zmykał — a panienka za nim, hi, hi, hi, hi.

— Proszę ojca, niech on już śmiać się przestanie — powiedział obrażony Alfredek.

— Idź Antosiu do kuchni, gdzie oddasz garnuszki, niech ci tam obiad dadzą — rzekł pan Kaliński.

Bronisia nic nie mówiła, ale się mocno zaczerwieniła.

— Pozwoli ojciec — zapytał Alfredek, podsuwając kieliszek, w chwili gdy pan Kaliński wino sobie nalewał, chociaż zwykle wina dzieci nie dostawały.

-- Owszem, ale pozwolisz, że trochę wody do niego naleję.

Bronisia także kieliszek podała, i oboje wino duszkiem wypili.

Gorąco się im zrobiło, starali się jednak nie okazać tego, a że marzeniem Alfredka było, spróbować papierosa, wyobrażając sobie, co to za wielka przyjemność wypuszczać dym ustami, widząc że ojciec zapala papiros, głosem jakkolwiek nieśmiałym, o takowy dla siebie poprosił.

Pan Kaliński spojrział na niego zadziwiony, pani Kalińska i panna Aurelia wzruszyły ramionami, ale ojciec po chwili z zimną krwią podał mu papieros i zapaloną świecę przysunął.

Zachwycony Alfredek, w uniesieniu wdzięczności, ojcu rękę ucałował, zapalił papieros, mocno pociągnął, i... tak się zakrztusił, że Bronisia z przerażeniem krzyknęła, a pani Kalińska i panna Aurelia zerwały się przestraszone.

(d. n.)

Łamigłówka kryształowa.
(dla Pegaza skrzydlatego).

1. Spółgłoska.
2. Broń dawna.
3. Gatunek psa.
4.
5. Kraj w Azji.
6. Organ wzroku.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą imię żeńskie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 28-go.

Zadania konikowego:

Chrystus nauczał ludzi: kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego.

Skrzynka do listów.

Łobzowianko z nad Rudawy, przeciwko pseudonimowi nie mamy nic zgola, a serdecznie pochwalamy zamiary, na spełnieniu ich zyska uboga dziatwa.

Zorzy, Kokoszce, Świątełku, Lipie z Pawłówka, oraz wszystkim kochanym korespondentkom, które nieznaną sobie jeszcze „Dobrej pani” przyrzekają toż samo serdeczne uznanie, jakim darzyły Kochaną panią, zastępczyni jej z serca dziękuję. Radaby jednak pozostać przy nazwie, którą obrała, proszę dawaj mi ją Lipo z P., której widok spracowanych żeńców tak zdrowe i poważne natchnął myśli. Przesyłki i liściki otrzymaliśmy, za pierwsze serdecznie dziękujemy, z drugich w miarę możliwości zrobimy użytek.

O! Hajduczku z pod Zamościa, czy ty czasem nie jesteś „Leniuszkiem z pod Zamościa”, że dwumiesięczne wakacje uważasz za krótkie? Kochana pani, której pamięć cenisz (jak świeży tego dałaś dowód) musiała pewno w dzieciństwie swoim lubić tę ciszę domową, która siedzieć nad książką dozwala.

Rezedko, roboty może być jeden tylko rodzaj; widzimy z zapytania, że stajesz do konkursu miłutki kwiatus.

Dla czego zmieniasz pseudonym ex-Mewo?

Śmieszce, Brzózce, Reins.... Bocianicze i Kukufce z nad Sanny dziękujemy za przesyłki. Za wyrazy uznania dla Kochanej pani nie dziękujemy, bo zasługiwała na nie tak zupełnie, że są one tylko ze strony waszej dowodem, iż pocziwami serduszkami umiemy ocenić niepospolitą wartość tej zgasłej przyjaźni waszej. Droga pracy, Brzózko moja, chociażby najskromniejszej, ale z dobrą wolą podjętej a sumiennie spełnionej zawsze wysoko, zawsze „nad poziom” prowadzi! Śmieszka niech się nie tłumaczy z „nieudolności” swojej: kto umie kochać, ten już wiele umie.

Pegazowi skrzydlatemu zmiana „Połocka” na „Płock” była poprostu omyłką drukarską, którą sprostowaliśmy.

Staszka z Podola może być pewną, że korespondencya, w której wyraża tak piękne myśli obok życzliwości dla naszego pisma, będzie zawsze dla nas najmielszą. O nie przestawaj nam mówić dalej o sobie i pracach swych w przyszłości, bo wiadomości podobne są dla nas najpożądanejsze, gdyż radziłybyśmy, aby wszystkie czytelniczki nasze, wyrosły na znaczne i pożyteczne istoty, pojmujące i spełniające swe obowiązki. Gołąbka za liścik serdecznie dziękuję i prosi o zachowanie jej miejsca w sercu. Liścik przysłany do druku, umieścimy. P. Urbanowska cieszyć się będzie wpływem dobrym, jaki książka jej wywarła.

Korespondencya z **Mechanikiem** będzie nam zawsze bardzo przyjemną,

Zuch dziewczynce dziękujemy bardzo za zapoznanie nas ze swoją osobistością i cieszymy się z tak miłej nowej korespondentki prosząc, aby o nas nie zapomniała. Radzi też jesteśmy, że Wiczory jej się podobają.

Westalka nas uradowała najpierw wiadomością, że ręka już ją nie boli, a potem serdecznymi dla nas wyrazami. Nazwa, którą nam daje, jest nam bardzo miłą, skoro pochodzi z serca. Odplacamy ci też wzajemnością Westalczko kochana. Młoda jesteś jeszcze bardzo i czeka cię pewno niejedna pomyślna chwila, więc nie smuć się i bądź dobrej myśli. Pismo twoje wcale złe nie jest.

Kochana Trzynastko! Kreślę do ciebie słów kilka, znam cię oddawna i widuję dosyć często, lubo nie wiesz kto jestem. Napisz mi czy wyjeżdżasz tego roku za granicę. Tymczasem zasyła ci serdeczne uściśnienia *Czternastka*.

Kochana Blondynko podlaska i Jaskółko z nad Sekwany! Serdeczne dzięki Blondyneczko droga, za miłutką twoją odpowiedź; śpieszę zatem znowu z tobą porozmawiać, szkoda wielka, że redakcyja na obszerniejsze pisanie zezwolić nie może. Na imię mi Zosia, w zimę mieszkamy zwykle w Warszawie, latem zaś zawsze na wsi. Teraz też wybieram się z radością na wieś w pow. Sandomierski, ty zaś droga Blondynko, pewnie od dawna wyjechałaś. Do ciebie zaś Jaskółko kochana, choć słoweczko załączam radabym osobno z tobą porozmawiać. Ściskam was zatem serdecznie, pamiętajcie o waszej życzliwej *Czeskiej Niezabudce*.

Droga śpiewna Liro! Śliczny obrałaś sobie pseudonym, tak mi się podoba, że postanowiłam napisać do ciebie. Donieś mi co o sobie. Co do mnie na imię mi Jadwiga, mam lat 13 mieszkam na wsi w Sandomierskiem. Napisz też proszę cię do twojej *Polskiej Lilijki*.

Kochana Halko z Litwy! Bądź tak dobrą i pisuj do mnie. Domyślałam się że masz około szesnastu lat, a pierwsza litera twego nazwiska jest S., i masz siostrę młodszą, od siebie Manię. Mieszkasz zimą w Kaliszu, a latem na Litwie. Odpisz czy zgadłam? Twoja *Gałązka jaśminu*.

Kochany Pegazie! Nie zgadłeś! Nazwisko moje zaczyna się od litery M. Na imię mi Edward. Jestem uczniem szkoły realnej. Nie pisałam do Wieczorów bo miałem egzamina. Pseudonym mój wziąłem z powieści: „Dewajtis”. Znam cię tylko z pseudonymu, dla tego proszę cię donieś mi jak ci na imię i co porabiasz? *Wajdewutas*.

Kochana Stasiu Abł. Chcę z tobą korespondować. Nasze babcie bardzo się kochały, a mamy widywały się często. Napisz mi ile masz lat i w której jesteś klasie. Zgadnij kto jestem. *Symfonia*.

Kochany Fiolecze z nad Wisły. Chciałabym do ciebie pisywać bo dawno się znamy i jestem w tym samym wieku. Wiadzieliśmy się u państwa W... Odpisz czy chcesz do mnie pisywać. *Sarenka z Mazowsza*.

Drogi moje: Jaskółko z nad Sekwany, Dębinko, Polanko, Łątko i Bzu Gałązko! Najpierw tobie luba Jaskółeczko, dziękuję serdecznie za twój liścik, tem więcej że jesteś starszą, a ja dopiero mam lat 10. Mam fotografię „Kochanej pani” z jej własnoręcznym podpisem, który mi będzie obowiązywał całe życie. Projekt wasz kochane siostrzyczki bardzo mi się podobał i korzystając z upoważnienia naszych Wieczorów, o ile mogę pośpieszam przyczynić się do urzeczywistnienia waszej dobrej myśli. Całuję was po sto razy. *Światelko*. Cyganeczce z nad Wisły, Śpiewnej Lirze i Szczeroci przesyłam uściśnienia, a Jedynaczkę i Wodę źródlaną zapytuję czemu mi nie odpisują?

Droga Bombo! Piszę do ciebie dla tego, że jesteś moją imienniczką. Napisz mi czy lubisz czytać i jak wyglądasz. Ja ci o sobie także doniosę. Odpisz prędko „*Kulce śniegowej*”.

Kochane: Biała Ostróżko i Bławatko z nad Horynia! Pewnie się zdziwicie, że ja, Baniuta, przyznaję się do znajomości z wami, a jednak tak jest, bośmy się widzieli z tobą Ostróżko, nawet parę razy w Rososzy, a z tobą Bławatko przed paroma laty w Holakach. Kochana Biała Ostróżko, wiem od Kasi, że chorowałaś z Misiem na tyfus, i że masz obcięte włosy jak chłopczyk. Ciekawam czy zgadnienie kim jestem? A ty kochana Wielkopolanko z nad Obry, pewnie musiałaś słyszeć o moim pseudonymie od Bronia, jeśli nie, to zgadnij proszę kim jestem i odpowiedz, jeśli możesz, na mój liścik. Kochanej Gołąbki zapomniałam spytać czy mój list do jednej ze „staruszek” dawniejszej Jaskółki z nad Warty, nie będzie drukowanym, bo tego bardzo pragnę. Ściskam was, *Baniuta*.

Kochana Wisienko z nad Sobu! Przebacż Wisienko, że ci tak długo nie odpisywałam ale tak jakoś zeszło. Na przeprosiny daj buziaka i nie gniewaj się na mnie. Na imię mi Wańdzia, mieszkam w Lublinie. Całuję cię serdecznie. *Kokoszka*.

Kochana Gosposiu z nad Warty. Bardzo mi się podobasz i chciałam choć listownie zaznajomić się z tobą. Nazywam się Jania, mieszkam stale w Warszawie, na wakacje zaś niekiedy wyjeżdżam na wieś. Nasz wiek jest bardzo zbliżony, gdyż ja obecnie mam lat 13. Ściskając cię serdecznie czeka, odpowiedzi życziwa *Wiosna*. Dziwanę pól Mazowieckich i Wieżę Eiffel całuję.

Kochana Różyczko biała z Wołynia ujęłaś mię swoim wesołym liścikiem, bo i ja nie jestem poważna i mnie moja droga stryjenka nazywa „Hajduczkiem”, tylko nie wiem, czy umiałabym się tak bić, jak Baśka. Całuję cię serdecznie i czekam odpowiedzi, twoja 16-letnia Cyganeczka z nad Wisły.

Moje drogie, *Cyganeczko z nad Wisły i Różyczko biała wołyńska!* Chcesz wiedzieć Cyganeczko coś więcej o mnie? Jestem imienniczką Różyczki, latami starszą, od Jaskółki z nad Sekwany

nawet; „Wieczory” znane mi są od początku ich istnienia; lubię bardzo muzykę, dobre książki, naukę, tańce i kwiaty. Według fizjonomiki, rysy mej twarzy oznaczają wesołość, jestem też czasem wesołą—ale nie zawsze. Ty Różyczko, z opisu bardzoś mi się podobała, z przyjemnością pisywać do ciebie będę. Przesyłam wam serdeczne pocałunki. Wasza *Staszka z Podola*.

Drogi Szlachetny!

Kształcę się w domu, gram na fortepianie;
Najbardziej lubię poezji czytanie;
Zbieram też książki, tudzież numizmaty.
A ty co robisz? Twój *Pegaz skrzydlaty*.

Droga biała Perełko! z listu twego do zwinnę Wiewióreczkę dowiaduję się, że masz lat 15 i mieszkasz niedaleko Żytomierza, ja też jestem starszą, a mieszkam w samym Żytomierzu. Chodzę do gimnazjum do szóstej klasy, na imię mi Marya; jestem blondynką wysoką i bardzo szczupłą. Niecierpliwie oczekiwać będę twego odpisu. Ściskam cię serdecznie *Błyskawica*.

Kochany Kucyku Bułany, nie możesz sobie wyobrazić, jak mię uradował swym listem. Już dwa lata, jak czytuję z rozkoszą ukochane moje „Wieczory”, przez które z tobą korespondować pragnę. Jestem w równym z tobą wieku, na imię mi Staś. Mieszkam w guberni kowieńskiej; lubię bardzo konną jazdę i ładne książeczki, miewam je często i czytuję z rozkoszą. Nie wymieniam tu ich tytułów, bo list byłby za długi. Ściskam cię serdecznie. *Kłosek Litewski*.

Podobałaś mi się bardzo Gałązko Heliotropu z twego pseudonymu, więc radabym bardzo korespondować z tobą przez nasze miłe „Pisemko”. Czekaj odpowiedzi niecierpliwie *Lobelia erina*.

Kochana Wiochno! Nie mogę sobie wystawić ciebie poważną i zamyśloną, tylko śmiejącą się i wesołą, jak byłaś w Nałęczowie, bo moje usposobienie jest bardzo zbliżone do twego. Marta się wcale nie zmieniła, jak była tak i jest roztrzepaną, kazała cię przeprosić, że do ciebie nie pisze, bo musi innym panienkom odpisywać. Odpisz mi prędko, droga Celinko. Ściskam cię wraz z Martą. Twoja *Westalka*.

Kochana Blondynko z pod Piotrkowa, jakże ogromnie ucieszyłaś mnie swoim miłym liścikiem. Wiem już kim jesteś, na imię ci Dziudzia, mieszkałaś w Służnie, masz dwie siostry: Mimi i Wandzię, czy tak? Pytasz czy chcę do ciebie pisywać, nie chcę, ale bardzo pragnę. Odpowiedz bardzo cię kochającej *Czirnuszce z Mroczkowa*.

Kochany Poranku majowy! Niezmiernie mi się podobał twój wierszyk, zamieszczony w „Wieczorach”. Ja także pisuję wiersze, ale tylko dla swojej przyjemności, gdyż do druku wydają mi się niezdatne. Donieś mi co o sobie, moja droga, mnie na imię Wacława, mam lat 14, mieszkam w Warcie. Pośła ci uściśnienie Twoja *Niezapominajka z nad Warty*.

Drogi moje: Śnieżycy, Krasnolico i Jesieni! Dziękuję wam stokrotnie za wasze miłe odezwy sympatyzuję z wami bardzo, i z przyjemnością z wami koresponduję. Jesieni donoszę, że mieszkam na wsi na Litwie nad Niemenkiem, który nas dzieli od Kurlandyi. Radziwiliszki nasze ślicznie położone, a my bardzo przyjemnie spędzamy czas, grając w krokieta i pływając łódką w chwilach wolnych. Czy czytaliście Dewajtisa? ja teraz go czytam i zachwyconą jestem. Polance, Dębince i Gałązce bzu donoszę, że ich projekt bardzo mi się podobał i chętnie mam częsteczkę dokładam. Napiszcie do mnie, kochane przyjaciółki, nie omieszkać bowiem jaknajprędzej wam odpowiedzieć. Wasza *Halka z Litwy*.

Kochana Blondynko z nad Suchowółki! Chciałabym się z tobą zapoznać. Pisałam już raz do ciebie, ale z powodu braku miejsca, list nie był wydrukowany. Donieś mi: czy masz rodzeństwo ile masz lat, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz? Bo co do mnie: to mam tylko jednego brata, a i ten po wakacjach do szkół jedzie; mam lat 11, na imię mi Janina, a mieszkam na Podolu w mieście Litynie. Jaka powieść w Wieczorach najwięcej ci się podoba? bo mnie, Najnowsza powieść Deotymy. Odpisz Kochającej cię choć nieznaną *Dzierlatce z nad Zharu*.